

W drużynie z Putinem

PIOTR KOWALCZUK

Premier Włoch Matteo Renzi złamał nieformalny dyplomatyczny bojkot Rosji. W partykularnych interesach swego kraju 5 marca odbył trzygodzinną rozmowę z Władimirem Putinem na Kremlu. Wizyta wpisuje się w prowadzoną od lat prorosyjską politykę Italii, z wielu powodów wspieraną przez sporą większość Włochów.

Pustosławie i miliard euro

Premier Renzi jest niedościgłym mistrzem PR, u którego terminować mógłby Silvio Berlusconi. Twittuje i udziela wypowiedzi dla mediów 20 razy dziennie, wprasza się do wszystkich ważnych telewizyjnych programów publicystycznych, a wydawcy dzienników TV poświęcają mu średnio 1/3 czasu antenowego. Nie bez powodu.

Renzi jest świetnym mówcą, kipi energią i zaraźliwym entuzjazmem. Na wszystko ma błyskotliwą, zaskakującą, a jak trzeba, to dowcipną albo arcyżołśliwą odpowiedź. Nigdy nie czyta z kartki. Improwizuje. A wszystko to robi z młodzieńczym, szelmowskim wdziękiem. Umie i chce się podobać. Żołśliwcy mówią, że gdyby przyszło mu wybrać trzy najpotrzebniejsze rzeczy na bezludną wyspę, wzięłby trzy lustra.

Nic więc dziwnego, że idea podróży do Moskwy narodziła się w studiu telewizji RAI. Była dziełem przypadku, nagłego olśnienia, improwizacji i megalomanii. W związku z tym, że w zeszłym roku z Libii na chybotliwych stateczkach i łódkach przybyło do Italii około 150 tysięcy uchodźców, a szykuje się dalszy milion, 22 lutego prowadząca popularny program „W pół godziny” spytała premiera, jak zamierza ten problem rozwiązać. Renzi podrapał się w głowę i po chwili, zaskakując wszystkich, wypalił, że pojedzie w tej sprawie do Moskwy. Zaraz potem rozwinął myśl twórczo: „Jeśli o ten problem chodzi, chciałbym mieć w swojej drużynie Putina i Chińczyków”.

Dopiero następnego dnia, gdy sensacyjna wiadomość, że włoski premier wybiera się do Moskwy, obiegła cały świat, Renzi zadzwonił do Donalda Tuska, by dostać na tę podróż unijny placet. Zapewne tylko dzięki perswazji Polaka włoski premier zdecydował się na międzylądowanie w Kijowie. Dopiero wtedy kompletnie zaskoczony włoski MSZ przystąpił do gorączkowej organizacji obu wizyt. Szczegóły podano na trzy dni przed wylotem.

Z kolejnych wypowiedzi Renziego, jak i oświadczeń, które złożyli wraz z Putinem w Moskwie, po trzygodzinnej rozmowie było jasne, że prawdziwym celem wyprawy włoskiego premiera był reset stosunków politycznych i gospodarczych z Rosją. Nie darmo w ambasadzie włoskiej w Moskwie rano w dniu rozmów 5 marca doszło do biznesowych spotkań z udziałem m.in. przedstawicieli Fiata, Pirelli, kolosów energetycznych ENI i ENEL, Iveco, Merloni i Ferrero.

Jako że w oświadczeniach Putina i Renziego było wiele pustosławia, a dziennikarzom nie pozwolono zadawać pytań, to, co uzgodniono, może być wyłącznie przedmiotem spekulacji. Włoscy i rosyjscy komentatorzy nie mają jednak wątpliwości, że Renzi obiecał pracować na rzecz zniesienia nałożonych na Rosję sankcji (obaj wyrzekali, że szkodzą biznesowi) w zamian za rosyjskie wsparcie w Radzie Bezpieczeństwa ONZ dla międzynarodowej akcji w Libii, skąd

pod adresem Italii płyną groźby islamistów, uchodźcy i 10 proc. włoskiego zapotrzebowania na gaz. Renzi w tej sprawie liczy też na wpływy Moskwy w Damaszku i Kairze.

Symbolem odbudowy włosko-rosyjskiej współpracy było uzgodnione w Moskwie utworzenie wspólnego funduszu inwestycyjnego z kapitałem 1 mld euro.

W Kijowie i w Moskwie z ust Renziego padły wszystkie rytualne słowa o umiłowaniu i znaczeniu pokoju w Europie, ale ani jedno o tym, kto konkretnie temu pokojowi zagraża. Włoski premier ani słowem nie potępił Rosji za aktywne wspieranie ukraińskiego konfliktu żołnierzami i sprzętem.

Nie odniósł się do zamordowania Borysa Niemcowa. Co prawda rano na miejscu tragedii na Dużym Moście Moskworeckim złożył pięć goździków, ale odmówił dziennikarzom jakiegokolwiek komentarza. Dziennik „Fatto Quotidiano” skomentował ten hołd rysunkiem, na którym Renzi zrzuca kwiatek z helikoptera i krzyczy: „Załatwione. Lecimy dalej”. I tytułem: „Biznes, biznes, a gdzie prawa człowieka?”.

Donbas to nie Sudety

Mimo pojawiających się tu i ówdzie kilku słów krytyki za tę wizytę włoscy komentatorzy są dumni ze swego premiera. Po pierwsze dlatego, że, jak sądzą, wyciągając Putina z izolacji, i to kilka dni po bardzo kłopotliwym dla Kremla zamachu na Niemcowa, działa zgodnie z włoską racją stanu i włoskimi interesami gospodarczymi. Po drugie, ich zdaniem, Włochy i Renzi dzięki tej wizycie stali się ważnymi graczami w polityce międzynarodowej.

Gdy w przeddzień podróży Renzi został zaproszony do udziału w telekonferencji z prezydentami Obamą i Hollande'em, kanclerz Merkel, premierem Cameronem i przewodniczącym Rady Europejskiej Tuskiem, ton włoskich komentarzy był jeden: „Wreszcie zaczynają się z nami liczyć!”.

Po wizycie Renziego w Moskwie podejrzania, że Italia w Unii będzie rzeczniką rosyjskich interesów, stają się coraz bardziej zasadne. Poważni politolodzy i wielu polityków podkreślało z tej okazji, że Italia powinna być pośredniczką porozumienia i zbliżenia Unii z Rosją. Innymi słowy,

w tej sprawie Włochy powinny być trochę w Unii, a trochę poza nią. Zalecali, by Renzi w kwestii konfliktu na Ukrainie prowadził politykę równego dystansu w stosunku do Kijowa i Moskwy.

Gdy Renzi był w Moskwie, szef włoskiego MSZ udzielił wywiadu „La Stampie”, w którym na pytanie, czy Rosja chce odbudować swoje komunistyczne imperium, powiedział, że takie ujmowanie sprawy to przebrzmiała XX-wieczna narracja. Dodał, że Donbas to nie Sudety, a obecnemu sporowi między Rosją a NATO daleko do wrogości i napięcia czasów zimnej wojny. Politykę Italii wobec Rosji nazwał dwutorową: z jednej strony zdecydowanie i konsekwencja, a z drugiej dialog. Wprawdzie nikt nie pamięta, kiedy Italia jechała pierwszym torem.

Jeśli chodzi o wojnę na Ukrainie, jest dla wszystkich włoskich sił politycznych jedynie bolesną przeszkodą na drodze wielkich interesów z Rosją. Niemal codziennie pojawiają się wyliczenia, ile z powodu bezsensownych sankcji nałożonych na Rosję i kontrsankcji traci włoski biznes (wymiana handlowa o wartości 35 mld euro w 2013 r. skurczyła się o 17 proc). „To nie nasza wojna” – z takim tytułem na pierwszej stronie kilkanaście dni temu wyszedł należący do rodziny Berlusconi dziennik „Il Giornale”. W drugim prawicowym tytule „Libero” ukazał się spory analityczny tekst zatytułowany: „10 powodów, dla których w sporze o Ukrainę między Unią a Rosją Moskwa ma rację”.

Dialogi Federiki

Pani Federica Mogherini, obecnie szefowa figurant unijnej dyplomacji, gdy była ministrem spraw zagranicznych, stwierdziła, że w konflikcie ukraińskim nie ma „dobrych” i „złych”, by skonstatować: „Z Rosją nie można walczyć. Trzeba ją wciągać w dialog”. Od miesięcy Polska i kraje bałtyckie oskarżane są we włoskich mediach o genetyczną rusofobię („Tusk co prawda jest umiarkowany, ale jest Polakiem” – „Libero”) i niepotrzebne prowokowanie Rosji.

W podobnym tonie wypowiadał się też premier Renzi. Gdy we wrześniu ubiegłego roku szczyt NATO w Newport podjął decyzję o stworzeniu militarnej „szpicy” w Europie w odpowiedzi na agresywną politykę Kremla, „Il Giornale” napisał: „Obama chce nas postać na wojnę z Putinem”.

Aneksję Krymu większość włoskich komentatorów uznaje za akt sprawiedliwości dziejowej lub cenę, którą trzeba zapłacić za pokój w Europie (komentarz „Corriere della Sera” w dniu wizyty Renziego w Moskwie). Do włoskich mediów, nierzadko bez komentarza, przedostaje się rosyjska propaganda o tym, że w Kijowie rządzą faszyci. Ukazało się wiele reportaży o wspierających ukraińską armię oddziałach przybyłych z zagranicy neonazistów.

Od miesięcy włoska prawica powtarza, że trzeba zdjąć z Rosji sankcje, zapomnieć o Ukrainie i wyruszyć wspólnie na wojnę z Państwem islamskim: „Putin jako sojusznik w walce z islamistami wart jest Ukrainy” – tytułowało „Libero” na pierwszej stronie. Matteo Salvini, szef cieszącej się teraz największą popularnością wśród ugrupowań prawicowych Ligi Północnej (15 proc. w ostatnich sondażach przy 12 proc. Forza Italia Berlusconiego), już trzy razy w ciągu ostatnich pięciu miesięcy był z wizytą przyjaźni w Moskwie (ostatni raz 9 lutego br.), gdzie się serdecznie wyściskali z Putinem. Plotka mówi, że jego partia otrzymała od Rosji sporą pożyczkę. Teraz w tę samą stronę, choć ostrożniej i dyskretniej, idzie lewica pod wodzą Renziego.

Zapewne nie byłoby to możliwe, gdyby nie bardzo prorosyjskie nastawienie Włochów. Włoska lewica miłość do Rosji ma zapisaną w swoim kodzie genetycznym. Dla komunistów, którzy przez lata mogli liczyć nawet na 1/3 głosów w wyborach, Rosja była ojczyzną proletariatu, krajem sprawiedliwości społecznej i dobrobytu, a Stalin genialnym, boskim przywódcą (do dziś Stalin ma ulicę w Agrigento, a Lenin aż kilkadziesiąt na terenie całych Włoch i tablicę pamiątkową na Capri). Włoska komunistyczna partyzantka, dalece najsilniejszy nurt ruchu oporu przeciw faszystom i Niemcom, owiana jest mitem wyzwolicieli ojczyzny, ale jej przywódcom marzyło się uczynienie z Italii komunistycznego satelity Stalina.

Pod parasolem partii

Duchową ojczyzną włoskich komunistów była sowiecka Rosja. Rozważali nawet możliwość wywołania w Italii proletariackiej rewolucji. Przygotowywali pod nią grunt, mordując w latach 1944-1947 około 20 tysięcy „wrogów klasowych” i nie chodziło wcale o zdeklarowanych faszystów z krwią na rękach, ale o właścicieli ziemskich, przedsiębiorców, inżynierów, dziennikarzy, prawników, lekarzy czy księży. Dopuszczali się nawet mordów na niekomunistycznych partyzantach (tak zginął brat słynnego reżysera Piera Paola Pasoliniego).

W końcu rewolucyjną ideę wybił z głowy Palmiro Togliattiemu, przywódcy włoskich komunistów, sowiecki ambasador Michaił Kostylew podczas sekretnej rozmowy w lesie pod Rzymem w marcu 1948 r.

Choć w 1946 r., a potem w 1948 r., lewicowa koalicja pod wodzą komunistów niespodziewanie przegrała wybory, to ludzie włoskiej lewicy opanowali całkowicie świat kultury, mediów i nauk humanistycznych. Dlaczego tak się stało?

Historycznie rzecz wytłumaczyć łatwo. Włoskie elity za czasów Mussoliniego zachowały się haniebnie (patrz „Włoskie chorągiewki na wietrze”, „Plus Minus”, 4 grudnia 2014). W 1931 r. z 1250 szefów uniwersyteckich katedr tylko 12 odmówiło przysięgi na wierność faszystowemu. W 1938 r., gdy uchwalano ustawy rasowe, tylko trzech senatorów nie pojawiło się w Senacie. Reszta głosowała „za”. Wielu znanych po wojnie włoskich artystów i pisarzy miało za sobą mniej lub bardziej poważny flirt z faszyzmem, choćby Roberto Rossellini, Dario Fo, Alberto Moravia, Pier Paolo Pasolini, historycy Norberto Bobbio i Giorgio Bocca.

Smutna prawda jest taka, że włoskie elity zaraz po wojnie wcale nie padły ofiarą ukąszenia heglowskiego. Chcieli odkupić winy i ukryć prawdę o niewygodnej przeszłości. Dlatego z zapalem neofitów opowiedzieli się za komunizmem. Zostali przyjęci z otwartymi ramionami, kupując sobie przy okazji parasol ochronny Włoskiej Partii Komunistycznej. W ten sposób świat włoskiej kultury, nauki i mediów przechylił się bardzo mocno na lewo.

W imię hasła „Kto nie z nami, ten przeciw nam” inaczej myślący stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Ci, którzy otworzyli usta, musieli się liczyć z ostracyzmem. Taki los spotkał między innymi Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (zięcia włoskiego filozofa i polityka antyfaszystowskiego Benedetto Crocego).

Rozpoczęła się gigantyczna akcja fałszowania historii, zacierania śladów i zakłamywania rzeczywistości zupełnie jak w Ministerstwie Prawdy Orwella. Blisko 100 instytucji zajmujących się „dokumentacją” ruchu oporu na gwałt przystąpiło do masowej produkcji komunistycznych bohaterów, gumkowania partyzantów niekomunistycznych, dorabiania patriotycznej i demokratycznej legendy tym, którzy chcieli oddać Italię Stalinowi.

W ten sposób na ołtarzu budowania fałszywego rodowodu włoskiej lewicy złożono z premedytacją prawdę. Naród kupił tę mitologię chętnie, bo kłamstwo o powszechności patriotycznego i przesiąkniętego duchem demokracji ruchu oporu niejako relatywizuje moralną odpowiedzialność Włochów za powszechne fanatyczne wspieranie Mussoliniego i faszyzmu.

Sołżenicyn oszkalował ojczyznę

Wychwalany pod niebiosa jako miłośnik prawdy i demokracji były już prezydent Włoch Giorgio Napolitano, jako student faszysta, a po wojnie żarliwy komunista, w 1974 r. na łamach „L'Unita” tłumaczył, że Związek Radziecki słusznie wydalili Aleksandra Sołżenicyna, bo pisarz w „Archipelagu Gułag” oszkalował swoją ojczyznę. Najwyraźniej, zdaniem Napolitano, łagry nie istniały. Były wymysłem wrogów komunizmu.

O skuteczności prosowieckiej propagandy w Italii niech świadczy choćby to, że jeszcze pod koniec lat 70. XX wieku ponad połowa wyborców lewicy była przekonana, iż stopa życiowa w ZSRR jest wyższa niż we Włoszech, a mieszkańcy cieszą się tam o wiele większymi swobodami.

Prawda o sowieckich zbrodniach wojennych do dziś przebijają się z niesłychanym trudem. Włoski dystrybutor „Katynia” Andrzeja Wajdy Mario Mazzarotto powiedział mediom, że natknął się na mur niechęci i wrogości. Filmu, mimo świetnych recenzji, praktycznie nie można było obejrzeć w kinach.

Ale też trudno się dziwić, skoro łgarstwa o sowieckiej Rosji trafiły do podręczników szkolnych i uniwersyteckich. I choć to nie do wiary, siedzą tam do dziś. Sięgnijmy choćby po monumentalne dzieło „Elementy historii – XX wiek” (909 stron) autorstwa Augusta Camery i Renata Fabietiego z 1998 r., wznawianego do dziś i do kupienia za 43 euro.

Można się stamtąd dowiedzieć, że gułagi, w których zginęło ponad 20 milionów ludzi, były „utopijnym usiłowaniem natychmiastowego wprowadzenia w życie najświętszych

(*sacrosanto*) ideałów komunizmu: wymogu równości prowadzącej do wolności". Stąd, tłumaczą autorzy, nie można ich stawiać na równi z hitlerowskimi obozami zagłady, bo te były konsekwencją ideologii opartej na niesprawiedliwości społecznej i rasizmie.

Z kolei „Wiek współczesny” (P. Ortoleva, M. Revelii, Wydawnictwa Szkolne) tłumaczy uczniom, że „kult Stalina, w odróżnieniu od podobnych zjawisk w innych państwach autorytarnych czy USA, wynikał z głębokiej potrzeby poczucia pewności i stabilności radzieckiego społeczeństwa, której osobowość Stalina wychodziła naprzeciw”. Natomiast likwidację 5 mln kulaków, jak wyjaśniają autorzy, „można także interpretować jako dowód niezłomnej woli wprowadzenia równości społecznej”. Jeśli zaś chodzi o politykę Stalina wobec mniejszości narodowych, „nie miały charakteru represyjnego, bo na liście narodów prześladowanych znalazły się tylko niewielkie grupy etniczne, najczęściej wyizolowane”.

W tej sytuacji łatwiej zrozumieć, że, jak wynika z dokumentów wywiezionych w 1992 r. do Wielkiej Brytanii przez archiwistę KGB Wasilija Mitrochina, jeszcze w latach 80., gdy klęskę moralną i gospodarczą komunizmu było widać gołym okiem, kilkuset Włochów, w większości znanych polityków, wojskowych i dziennikarzy, najczęściej z pobudek ideologicznych, służyło sowieckiej Rosji. Ambasada ZSRR w Rzymie była miejscem regularnych spotkań włoskich lewicowych elit – intelektualistów i artystów.

Stąd zapewne po aneksji Krymu wziął się zalew komentarzy we włoskich mediach, z których wynika, że Wielką Rosję trzeba zrozumieć, że ma święte prawo do swojej strefy wpływów (też na Ukrainie), że nie wolno Rosji upokarzać, a tym bardziej wykluczać. Słychać nawet, że Ukraina to nieledwie państwo sezonowe, a historyczne prawa Rosji do Ukrainy legitymizują tradycje Rusi Kijowskiej (sic!).

Osobną rolę w miłości włoskich lewicowców do Rosji odgrywa niechęć do Stanów Zjednoczonych jako symbolu imperializmu. Żywią ją nadal wymierający betonowi komuniści, choć socjaldemokratycznemu, głównemu nurtowi włoskiej lewicy jest teraz z Amerykanami w miarę po drodze.

Za to radykalna włoska lewica – antyglobaliści, pacyfiści, anarchiści i kontestatorzy wszelkiej maści – podczas swoich demonstracji i konwentykli obnoszą się z portretami Che i palą flagi USA.

To, co o wojnie na Ukrainie opowiada włoska centroprawica, jej media, a szczególnie Silvio Berlusconi czy Matteo Salvini, jeży włos nagłowie, bo jest całkowicie zgodne z groteskową narracją Putina, jego gazet i telewizji. Cynizm bije się o lepsze z kłamstwem, a prezentowanego tam darwinizmu politycznego, zgodnie z którym słabszą Ukrainę słusznie pożera silniejsza Rosja, nie powstydziliby się Benito Mussolini.

U prazródół miłości włoskiej prawicy do Rosji Putina z pewnością po części leży koncepcja polityki zagranicznej Berlusconiego, który w imię przeciwwagi dla hegemonii Niemiec i Francji w Unii postawił na zbliżenie ze Stanami Zjednoczonymi i Rosją. Mało tego. Berlusconi, któremu nigdy nie brakowało megalomanii, postanowił przejść do historii jako ten, który z pożytkiem dla Italii będzie architektem mostu łączącego biznesem i przyjaźnią Rosję z Zachodem i Unią (podobną rolę chce teraz odgrywać Renzi). Wielokrotnie mówił, że Rosja powinna być członkiem i Unii, i NATO, a nawet doprowadził w 2002 r. do Szczytu NATO – Rosja w Pratica di Mare.

Na dodatek w ramach „personalnej” wizji polityki zagranicznej zaprzyjaźnił się z Putinem. Promował z niezłym skutkiem współpracę energetyczną i handlową Włoch z Rosją. We wszelkich spornych sytuacjach między Unią a Rosją, w imię „oswajania” niedźwiedzia stawał po stronie Moskwy. Niezmiennie twierdził, podobnie zresztą jak kanclerz Schroeder i prezydent Chirac, że Putin jest demokratą i mozolnie buduje ten system w swoim kraju.

Gdy Rosja w 2008 r. zaatakowała Gruzję, Berlusconi, wówczas premier Włoch, mówił o gruzińskiej prowokacji. W kwestii ukraińskiej, i to nie tylko aneksji Krymu, Berlusconi stanął całkowicie po stronie Rosji. Uważa, że jeśli Ukraina przeszkadza włoskim interesom ubijanym z Rosją, na dobrą sprawę mogłaby zniknąć.

Przeciw wagą być...

W tej chwili, biorąc pod uwagę oficjalne stanowiska najważniejszych włoskich partii politycznych i ich przywódców, premier Renzi i jego lewicowa Partia Demokratyczna chcą doprowadzić do zbliżenia Moskwy z Unią, dając do zrozumienia, że są przeciwni sankcjom. Co więcej, Renzi ma ambicję prowadzenia własnej polityki zagranicznej, o wiele bardziej prorosyjskiej niż oficjalne stanowisko Brukseli.

Cała licząca się włoska prawica (Forza Italia i Liga Północna) i jej media kibicują Rosji i separatystom, a populistyczny Ruch 5 Gwiazd komika Beppe Grillo (25 proc. głosów w wyborach parlamentarnych) przekonuje, że w tej sprawie Italia powinna zachować całkowitą neutralność, a więc nie przyłączać się do szkodliwych dla Włoch sankcji nakładanych przez Unię i USA na Rosję.

Włoska prasa poświęca białe strony, a telewizje gros antenowego czasu programów informacyjnych i publicystycznych islamskiemu zagrożeniu. O ukraińskim konflikcie informują skąpo. 18 lutego, gdy separatyści urządzili krwawą rzeź w Debalczewem, główne wydanie dziennika telewizji publicznej RAI, jak wskazują badania, pierwszego źródła wiedzy Włochów o wydarzeniach na świecie, nie zajęło się o tym ani słowem, podobnie jak nazajutrz prawicowe dzienniki „Il Giornale” i „Libero”, a „Corriere della Sera”, najważniejszy dziennik Włoch, poświęcił jej kilkanaście zdań na 25. stronie. Trudno uniknąć podejrzeń, że to bardziej polityka informacyjna niż efekt dziennikarskiej niekompetencji.

Z tych wszystkich powodów dziejąca się tak daleko od nich wojna na Ukrainie zupełnie Włochów nie obchodzi, jeśli pominąć jej negatywne gospodarcze i finansowe skutki dla Italii. Powodowani sympatią dla Rosji lub/i pragmatyzmem na ogół chcą zbliżenia z Moskwą i gotowi są na ołtarzu złożyć Ukrainę. W prywatnych rozmowach Włochów, podobnie jak w komentarzach włoskiej prasy czy poważnych dyskusjach polityków i publicystów, trudno doszukać się refleksji, że Rosja staje się militarnym i gospodarczym zagrożeniem dla całej Europy.

(„Rzeczpospolita”, 1-15.03.2015)